ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. września, N:er 36. roku 1844.

List o trzech pieczęciach.

(Dokończenie.)

Obudziwszy się pewnego poranku w najpiękniejszą pogodę, zdziwiłem się niemało, iż nieczułem najmniejszego ruchu okrętu. Panowała zupełna cisza morska a my znajdowaliśmy się właśnie pod pierwszym stopniem północnéj szerokości, a dwudziestym siódmym długości. Rzuciłem okiem na pokład. Morze było gładkie jakby źwierciadło, wszystkie żagle pozwisały wzdłuż masztów. Wówczas pomyślałem sobie w duszy: teraz czas list przeczytać. Ale to przeciągło się jeszcze do wieczora; jakaś bowiem dziecinna trwoga wyrywała mi po kilka razy list z ręki, gdym go już chciał otworzyć. Wstrzymałem się aż do zachodu słońca; na końcu jednak musiało się to raz stać koniecznie, więc wyjąwszy list zpod pendułu, rozdarłem mocnem szarpnięciem wszystkie trzy pieczęci. Leżał tedy otwarty w moim ręku, leżał dłużéj niż kwadrans, gdyż nie miałem tyle śmiałości aby go wziąć i przeczytać. Aż wreszcie oburzony mojém własném tchórzostwem, uderzyłem się pięścią w czoło, przeczytałem i mniemałem, żem go jeszcze nie przeczytał, albo żem źle dowidział. Poczém przebiegłem go raz jeszcze, i odczytałem po raz trzeci, i jeszcze po raz czwarty powoli, i byłbym go jeszcze przeczytał po raz piąty, gdyby mi gwałtowny szum w głowie i migot tysięcznych światełek przed oczyma nie były w tém przeszkodziły. Nie zdarzyło mi się od lat dziecinnych aby mi kolana drżały Teraz jednak drżały mi tak gwałtownie, żem musiał usiąść na kufrze. Potém niemogąc wytrzymać w pokoju, wyszedłem na pokład odetchnąć świéżem powietrzem, bo zdało mi się, że mi piersi rozpękną. Byłto szkaradny wieczór, głucha cisza powietrza ciężyła na całym widokręgu a przytém leżała tak gęsta mgła na morzu, żebyś był ręki swojéj przed oczyma nie poznał, a przygniecione piersi nie mogły znaleźć ulgi w zadusznéj powietrzni. Ludwik i Joanna stali w górze na pokładzie o kilka kroków odemnie. Igrali z sobą jak zwykle. Ale przez mgłę która się między nami ścieliła, wydali mi się oboje tak bledzi, tak niecieleśni, jak duchy pomarłych dzieci, które jeszcze jako cienie swobodnie z sobą igrają. Przystąpiłem do Ludwika i rzekłem: »Pójdź ze mną Ludwiku!« — Obrócił się ku mnie i odrzekł wesoło: »Z ochotą, papo.« — Wiedzieli iż im nieraz tym sposobem sprawiłem niejedną przyjemną niespodziankę, na jaką mi przy szczupłych środkach okrętowych stać mogło. Joanna spojrzała z uśmiechem i nieco ciekawie za nami, ale się pozostała, ponieważ jéj nie zaprosiłem z sobą. Ludwik wszedł ze mną do pokoju.

Usiadłem na mój kufer tak mocno że mi aż ziobra zabolały, i patrzyłem sobie po nogach; nie mogłem tego przenieść, aby Ludwikowi, który stał we drzwiach, w oczy spojrzeć. Milczałem przez chwilę, potém zacząłem niepewnym głosem: »Apropos, mój kochany; powiedz mi téż, coś tam właściwie zrobił, że owi adwokaci, pod których władzą Francyja się wije, tak się uwzięli na ciebie. Zdaje mi się, żeś tam nie lada nabroić musiał.«

»Papo!« zaczął Ludwik żartując; spojrzawszy jednak na mnie, przybrał nagle surową minę i mówił zmienionym tonem daléj: »Kapitanie, nie warto o tém mówić. Trzy wodwilowe zwrotki na dyrektoryjat, i Bóg świadkiem, nic więcéj.«

»To niepodobna!« krzyknąłem na głos, porwawszy się z kufra.

»Nic więcéj, na honor, kapitanie. A do tego były to jeszcze dość nieudałe zwrotki. Dnia 15. fruktidora zostałem uwięziony, 16. skazany, a to najprzód na śmierć, a później, w drodze łaski, na wygnanie.«

»Przeklęta łaska!« mruknąłem drgającémi ustami. Panowie dyrektorowie biorą lada żart za złe Oto ten list, ktory jest ci znany, panie Ludwiku, nakazuje mi rozstrzélać cię natychmiast.«

Ludwik milczał; przygryzł nieco usta, lecz się uśmiéchnął i okazał odwagę, która zdawała się miéć więcéj niż lat dziewietnaście. Oczy jego zwróciły się ku niebu; wiedziałem iż to spojrzenie tyczyło się jego żony — i otarłem sobie czoło, na które krople potu powystępowały.

»Stały ląd jest zbyt tkliwy wykonywać potworne czyny jakie sam wymyśli;« mówiłem daléj. »Każe więc szérokiemu, niememu morzu je spełniać. O, taką zdradę może tylko ziemia uknuć a morze pokryć! Ludwiku, wiész, kocham ciebie, serce mi się kraje, lecz oto wyrok śmierci ze wszelkiémi formalnościami, rozkaz stracenia podpisany, opieczętowany — Bóg widzi, nie mogę inaczéj.«

Ludwik skłonił się i rzekł: »Niech mię Bóg broni, kapitanie, abym cię chciał odwodzić od spełnienia twéj powinności. Chciałbym tylko pomówić z Joanną, i prosić cię, abyś ją ochraniał, gdyby mię przeżyć miała!«

»Bądź tego pewny, dobry Ludwiku! Zostawię Joannie zupełną wolność; jeżeli zechce, odwiozę ją do jéj rodziny we Francyi. Puściła się dobrowolnie z tobą na to mniemane wygnanie, i jest nieograniczoną panią swéj woli.«

To mówiąc, musiałem się o coś oprzéć, bo moje kolana zachwiały się nanowo. Ludwik poskoczył ku mnie i wsparł mię silną dłonią. »Mój ojcze!« ozwał się do mnie głosem łagodnym. Jakże mi żal ciebie! Cierpisz więcéj ode mnie! O, moja Joanno! Obyś wraz ze mną umrzéć mogła! Pragnę tego dla ciebie saméj. O, ta prośba będzie spełniona! Joanna mnie nie przeżyje! Rozpacz i zgryzota ją zabiją!«

Opamiętałem się znowu. »A teraz spieszmy,« napominiałem go; »spełńmy, co musimy, to lepiéj dla nas wszystkich! Pomów jeszcze z Joanną, a potém — skończmy!«

Ludwik uchwycił mię za rękę i ścisnął ją tak silnie, że pierścień, który na średnim palcu nosiłem, wciął się głęboko w mięso.

»Posłuchaj mię!« dodałem. »Nie powiadaj nic o tém Joannie, co was oboje czeka. Urządzę tak, że się niczego nie domyśli. Jeźli jéj potém serce z boleści pęknie — ha no! — Tém lepiéj dla niéj! Ale posłuchaj mię, nie mów jéj o tém, nie żegnaj się z Joanną — rozumiesz?«

»Dobrze mówisz, kapitanie!« odrzekł Ludwik zamyślony. Uczynię tak. Daję ci słowo że odemnie się nic nie dowié! Pozwól mi tylko być jeszcze kwadrans przy niéj — a potém — prędko, jak najprędzéj, do dzieła. Kapitanie, postarasz się oto, aby się wszystko prędko i skutecznie odbyło!«

To rzekłszy już był za drzwiami. Lżéj mi było na sercu, żem się sam został, nie chciałem nikogo ani widziéć ani słyszéć. Lecz nadaremnie, zaledwie Ludwik wyszedł, wszedł Jakób do kajuty. Nigdym go jeszcze w takim stanie nie widział; twarz jego była jak ściana blada, oczy wystawały mu z głowy w właściwém znaczeniu tego słowa.

»Na miłość Boga, kapitanie!« zawołał drżącym głosem. »Tu się coś stało, lub się coś bardzo złego dzieje; wypatrzyłem to z twarzy Ludwika, który właśnie ztąd wyszedł, — więcéj jeszcze z twego pomieszania wyczytuję, — lecz co widzę?! Ten przeklęty list leży już rozpieczętowany na twoim kufrze!? — Ten list, kapitanie, przyniósł jakieś nieszczęście — nieprawdaż?«

Milczałem. Zamiast odpowiedzi dałem mu ten zabójczy list do przeczytania.

Jakób przejrzał go osłupiałémi oczyma; kolana jego drżały. »Ależ przecie nie zechcesz kapitanie wykonać rozkazów tego katowskiego listu?« zapytał przeszywając mię przenikliwym wzrokiem i krusząc konwulsyjnie palcami lak pieczęci.

»Mogęż uczynić inaczéj?« odpowiedziałem zmarszczywszy boleśnie czoło.

»Kapitanie, to być nie może, ty nie spełnisz tego morderczego wyroku.«

»Muszę, Jakóbie! Zostaję w służbie, muszę czynić podług méj powinności, muszę słuchać.«

»Kapitanie! Na Boga! Niech to nie będzie twoje ostatnie słowo! Posłuchaj głosu ludzkości; — zlituj się!« Wstrząsłem głową i dałem mu znak ręką aby wyszedł.

»Oto mię widzisz u nóg twoich, błagam cię o litość kapitanie! — Lub jeszcze jedno. Ja i Ludwik jesteśmy obaj równego wzrostu, mamy podobne włosy Gdyby mi zawiązano oczy i chustę na twarz głęboko zasunięto, nie prawdaż kapitanie, przy ciemności, która już zapada, i gęstéj mgle, która leży na morzu, mógłbym zastąpić Ludwika, a on w moich sukniach i w mojéj łodzi umknąłby tymszasem z Joanną. W istocie, kapitanie, toby się wyśmienicie powiodło.«

»Szaleńcze! Twoje dobre serce zawróciło ci głowę. Co za myśl dzika! I mógłżebyś sądzić, iżbym ja ciebie, niewinnego, mógł kazać rozstrzélać za winowajcę? Miałżebym z nierozsądnéj dobroci zostać zabójcą? Nie pleć mi więcéj podobnych niedorzeczności, Jakóbie. Gdybym kosztem mojéj staréj krwi mógł ocalić Ludwika, niebem się świadczę, iżbym to z radością serca uczynił. Lecz powinność i honor nakazują, a ja nie mogę nic innego uczynić, jak się tylko modlić za niego. Jego krew spadnie na tych, którzy ten zdradziecki wyrok wydali! Ach, to tylko jedyna kropla w tym szérokim strumieniu krwi niewinnéj, jaką już rewolucyja wypiła!«

»Więc nasz Ludwik musi umrzéć, — umrzéć koniecznie, kapitanie?«

»Musi, a to za kilka minut. Niech się Bóg nad nim zlituje!«

»Kapitanie — odwołuję się do naszego warunku; proszę o pozwolenie oddalić się natychmiast.«

Spojrzałem mu w oczy; były łzami zalane, lecz hardo na mnie patrzyły. »Jesteś wolnym,« rzekłem spokojnie.

»Dziękuję ci, kapitanie. Bądź zdrów. Jak się zdaje, już się więcéj nie obaczymy.«

Jakób zwrócił się ku drzwiom, wstrzymał się w kroku, patrzył zamyślony w kąt komnaty jakby osłupiały.

»Kapitanie, jeszcze ostatnią prośbę! Ludwik jest moim przyjacielem. Niechciałbym aby żołnierze, którzy mają go rozstrzélać, nie rozumieli swéj sztuki i męczyli go złém celowaniem. Pozwól mi abym wybrał sam z naszéj osady trzech najlepszych strzelców i sam dowodził exekucyi. Jeźli już nie mogę mojego biédnego Ludwika ocalić, niechże przynajmniéj zejdzie prędko i bez bolu z tego świata, niech jego mężne serce nieochybną i pewną znajdzie kulę.«

To oświadczenie było mi wcale po myśli. Najprzód, nie potrzebowałem już więcéj sam się mieszać w tę bolesną sprawę, bo wiedziałem, że oddaję Ludwika w dobre ręce; a potém, zdało mi się, iż przez to ulżę w ostatniéj chwili biédnemu młodzieńcowi, gdy postawię naprzeciw niemu przyjaciela i temu powierzę wykonanie. Jestto jakaś smutna pociecha w téj myśli: że jeźli jest niepodobieństwem odwołać czyjéj śmierci, przynajmniéj możemy ją złożyć w drogie nam ręce, przynajmniéj jéj ostatni wyrok usta przyjaźni wyrzekną!

»Spełnię twoje życzenie Jakóbie, ale spodziéwam się że wykonasz wszystko sumiennie.«

Jakób skłonił się, chciał odejść, wrócił się raz jeszcze, pocałował mię rozpalonémi ustami w rękę i wybiegł spiesznie.

Spojrzałem za nim przez drzwi na wpół otwarte, lecz gdym ujrzał Ludwika i Joannę, zbliżających się ręka w rękę ku mojemu pokojowi, zdało mi się że mi kamień padł na piersi. Mężny młodzian dotrzymał słowa; ani miną ani mową nie dał poznać swojéj żonie o losie który go czekał. Joanna igrając i pieszcząc się jak zawsze, tuliła się do jego boku; on był nieco blady, lecz odpowiadał przecież na jéj pieszczoty i na jéj żarty. Nieprzeczuwająca, dziecinna wesołość Joanny rozdziérała mi serce; musiałem wypić co prędzéj śklankę wody, bo myślałem że się uduszę.

Weszli do pokoju; zapaliłem cygaro, aby zatrudnić czémś moje usta, które dziwacznie drgały. Cygaro nie chciało się palić; wziąłem drugie. Zimny pot wystąpił mi na czoło.

»Papo,« ozwał się Ludwik niepewnym głosem, takim jak gdy kogo dreszcz przenika, »pozwól aby moja Joanna chwilkę

z tobą się zabawiła; za nadto już zimno dla niéj na pokładzie. Jakób ma jeszcze coś mi dopowiedziéć, a on jak raz zacznie, nie tak prędko skończy. Przeczytaj tymczasem nieco kapitanowi, Joanno.«

To mówiąc pocałował ją serdecznie. Ona opuściła chustkę na ziemię, a gdy się po nią z uśmiéchem schylała, Ludwik wlepił w nią spojrzenie, jak gdyby jéj całą postać chciał był przeciągnąć w źrenicę swego oka; zrozumiał znak który mu dałem i wyszedł prędkim, ale nie zupełnie pewnym krokiem.

U przedniéj części okrętu jest duży belek, zkąd się rzuca w morze kotwicę. Kogo mają rozstrzélać, stawiają go zazwyczaj na tym belku, aby ztamtąd spadł prosto w morze.

Posadziłem Joannę plecami ku drzwiom i podałem jéj książkę. Czy mi w saméj rzeczy co z niéj czytała, tego do dziś dnia niewiém, bo w téj chwili nie byłem w stanie dosłyszéć co innego jak tylko ów półgłośny gwar, który się teraz zewnątrz mego pokoju wszczynał. Siedziałem naprzeciw Joanny, z twarzą ku drzwiom tak zwróconą, że przez śklanne we drzwiach okienko mogłem widziéć wszystko, co się tam działo. Na szczęście było się już znacznie zmierzchło, a przytém ścieliła się mgła tak gęsta, że wszystkie postacie ruszały się przedemną jak senne cienie. Jakób powracał z pokładu; wybrał już tedy swoich ludzi i dał im stosowny rozkaz. Nie daleko przed mojémi drzwiami spotkał Ludwika. Rzucił mu się na szyję i zdawało się jak gdyby się z nim żegnał. Obaj mówili z sobą tak cicho że nie można było dosłyszéć głosu a tém mniéj słów ich mowy. Nareszcie odstąpili od siebie i udali się ku przedniéj części okrętu.

Już więc niezabawem miał piorun uderzyć. Zimny dreszcz trząsł mną i przenikał wszystkie kości. Szczęście że Joanna tak pilnie w książkę patrzyła, inaczéj musiałaby mi była tę całą okropną scenę z twarzy wyczytać.

Po chwili ujrzałem jakąś ludzką postać mglistym mrokiem osłoniętą na owym belku stojącą. Wszystko było we mgle; zdawało się jak gdyby nocne cienie jakąś dawno na ziemi spełnioną zbrodnię odgrywały.

Jeszcze kilka chwil ciszy; owa postać stała jeszcze na swojém miejscu. Nagle błysnęły we mgle trzy blado-czerwone promienie, razem padły trzy wystrzały i jakieś ciężkie pluśnienie w wodę dało się słyszéć. Postać na belku znikła.

Gdym huk wystrzałów usłyszał, przegryzłem na wskróś tak ostro moje cygaro, żem się głęboko w wargę ukąsił. Joanna opuściła książkę, wlepiła przez chwilę przerażony wzrok we mnie, potém zerwała się z miejsca i pobiegła na dwór obaczyć co się dzieje.

Jam się musiał wprzód opamiętać, nim za nią wybiedz mogłem. Przeraźliwy krzyk — byłto głos Joanny — wyrwał mię z otrętwienia. Wybiegam na pokład i widzę Joannę leżącą bez zmysłów na ręku jednego z majtków.

Nie mogąc spojrzéć na nieszczęśliwą — odwróciłem twarz od niéj. »Gdzież jest Jakób?« zapytałem. »Onby mógł miéć najlepsze staranie o niéj.«

Jakóba nie było; natychmiast po wykonaniu wyroku odpiął swą łódkę i opuścił nasz okręt.

Dopiérom sobie teraz przypomniał, że Jakób się ze mną pożegnał.

»Jeźli mię mgła nie zwodzi,« rzekł majtek, »to widzę tam jego łódkę. W istocie, on to jest, zbliża się ku okrętowi.«

Jakož w saméj rzeczy robił z wszystkich sił wiosłem i przybił wkrótce do naszego okrętu. Spojrzałem w dół na jego łódkę. W jéj tylnéj części, jak mi się przez mgłę wydawało, widziałem białą chustę nad jakiémś ciałem rozprzestrzenioną. Chusta miała kilka plam czerwonych.

»Cóż tam w twojéj łodzi leży, Jakóbie?« zapytałem go stłumionym głosem.

»Ludwika ciało;« odrzekł ozięble. »Wydarłem je morzu. Jest moją własnością. Gdzież Joanna?«

Z przerażeniem postrzegłem ją za sobą stojącą; miała martwy wzrok w białą chustę wpatrzony. Te słowa: »Ciało Ludwika!« powróciły jéj zmysły. Blada, spokojna, stała nieruchoma jak piękny, odmłodniały obraz Gorgony.

»Joanno! Chceszże pani pójść ze mną i z swym Ludwikiem?« zapytał Jakób. »Za-

wiozę was do ojczyzny, lub jeźli taka wola boża, w głębiny morskie, gdzie dość jest miejsca i dla martwego i dla nas obojga żywych.«

Joanna milczała, jęcząc tylko wyciągała ręce ku białéj chuście. Dałem znak. Spuszczono na dół sznurową drabinę. Od majtków wsparta wstąpiła do łódki Jakóba. Widziałem jak się chciała rzucić na białą chustę i jak jéj Jakób to wzbraniał. Daléj nie można już było nic więcéj widzieć, gdyż Jakób odbił natychmiast od okrętu a po kilku chwilach znikła łódź w mgle i nocnym mroku.

»Szczęść wam boże!« mruknąłem. »Niech tylko powstanie burza a litościwe morze połączy ją na zawsze z zamordowanym małżonkiem. Ale i ty biédny Jakóbie musisz im towarzyszyć. Biédny Jakóbie! Biédny Ludwiku! Biédna Joanno!«

Od tego czasu nie mówiono na naszym okręcie ani słowa o tém całém zdarzeniu. Wiedziano, żem wszystkiego słuchać lubił, tylko nie tego. Nawet wszyscy moi ludzie zachowywali pomiędzy sobą głuche milczenie. Raz tylko zgadało się przypadkiem o tém. Pewnego razu ujrzałem na szyi jednego z owych ludzi — których jak mi wiadomo było, Jakób do wykonania wyroku na Ludwiku był wybrał — kosztowny złoty łańcuch, własność Jakóba. Znałem dobrze ten łańcuch, ponieważ go raz od Jabóba dla jednéj z mych dalekich kuzynek odkupić chciałem. Ale Jakób nie przystał na to, i zbył mię po swojemu krótkiémi słowy, mówiąc, że to jedyna pamiątka która mu po matce pozostała, a któréj mi przeto odstąpić nie może. Témbardziéj mię to zdziwiło widząc teraz ten łańcuch w cudzém ręku. Zapytałem oto żołnierza i dowiedziałem się po niejakiém wahaniu, że Jakób wszystkie swe lepsze rzeczy rozdał był pomiędzy trzech owych strzelców, i że ich jeszcze przytém znaczną kwotą pieniędzy obdarował, aby tylko dobrze mierząc, w samo serce biédnego Ludwika ugodzili.

Aby nie budzić w sobie żalu, nie chciałem już więcéj o tém słyszeć. »Poczciwy Jakóbie!« pomyślałem sobie. »Nie potrzebujesz już teraz żadnych kosztowności. Twój najpiękniejszy klejnot, twoje zacne serce, spoczywa już niezawodnie ze zwłokami twoich przyjaciół w głębinie morza. Pokój tobie, poczciwy Jakóbie! Pokój lubym, młodziuchnym małżonkom!«

Przybywszy do Kayenny, urzeczywistniłem com niegdyś przed Ludwikiem i Joanną wspomniał; oddałem mój stary bryg w inne ręce; zebrałem co mi się słusznie należało, i osiadłem na zawsze w tym smutnym kraju wygnania. Było mi tu jakoś lepiéj niż między wolnymi ludźmi stałego lądu, bo europejska wolność miała zbyt krwawą postać.

Wszelka wzmianka o Francyi była mi nieprzyjemna. Nałożono ztamtąd morderstwo na mnie, które, lubo moje sumienie mię wyzwalało, przecież jako wiecznie udręczająca myśl, tkwiło mi w duszy, pobieliło mi głowę, kark mój pochyliło.

Sława i zwycięztwa Francyi, których wieści aż do naszego pustego zakątku doszły, zdawały mi się tak nienaturalne, żem niemógł wierzyć o ich trwałości. Gdy jednak przyszła wiadomość, że ostatnie drgania rewolucyi w boju z całą sprzymierzoną Europą przytłumione zostały, a na miejsce przemijających zjawisk i błyskotnéj zmienności scen, dawny, stały porządek rzeczy powrócił — natenczas obudziła się we mnie żywa tęsknota do mojéj ojczyzny, zapragnąłem złożyć moje kości w ojczystéj ziemi, którą tak dawno już opuściłem, a gdzie już nie panowały więcéj bezprawie i samowolność — i powróciłem w r. 1816. do Francyi.

Paryż zdawał mi się teraz podobnym do starego znajomego, którego jakiś dziwaczny przystęp pychy, od nas na chwilę oddalił, a który teraz przykrém doświadczeniem nauczony i na dobrą drogę skierowany, przyjmuje z podwójną serdecznością swoich dawnych przyjaciół. Zwiedzałem ciekawie całe miasto we wszystkich jego częściach; wszędzie otwiérały się przedemną bądź miłe, bądź bolesne wspomnienia.

Przechadzając się pewnego dnia po bulwarach, ujrzałem jakiegoś pięknego mężczyznę z czarnémi kędzierzawémi włosy naprzeciw mnie idącego. Popatrzył się przypadkiem na mnie i stanął jak skamieniały. I ja też wlepiłem oczy w niego; zmysły mię opuściły. »Stwórco nieba i ziemi!« krzyknąłem nieprzytomny. »To Ludwik, albo sam siebie już nie znam więcéj!«

»Otóż jest, mój stary poczciwy kapitanie!« odkrzyknął nieznajomy, i rzucił mi się gwałtownie na szyję.

»Mówże Ludwiku, jaka czarodziejska siła wyrwała cię przed dziewiętnastą laty od śmierci, jaki cudowny balsam wyleczył twoje trzema kulami przeszyte serce?« wołałem drżąc z radości i zadziwienia.

»Oto idzie mój wybawczy czarodziéj!« odpowiedział Ludwik wskazując poza siebie.

Jakoż w istocie szedł tam Jakób a przy nim piękna jasnowłosa kobiéta. Nie wątpiłem już dłużéj, byłato Joanna. Jak chłopiec który oszaleje z radości, przyskoczyłem do obojga. »Jakóbie!« krzyczałem, »Joanno!« i ściskałem kolejnie jedno po drugiém. I Joanna także rzuciła mi się ze łzami na szyję. Chociaż o dzie-

wietnaście lat już starsza, przecież zawsze tą samą serdeczną, lubą istotą była. Jakób postarzał się nieco i nie mogę powiedzieć aby wyładniał. Gdym go chciał nją̨ć w ramiona, cofnął się prawie z bojaźnią, lecz chwycił mię za rękę i tak ją mocno całował i ścisnął, żem ledwie oderwać zdołał.

»Nie wiém czy marzę czym na jawie?« wołałem raz poraz w uniesieniu radości. »Powiedźcież mi przecie, moi kochani, jak się to stało że Ludwik uszedł śmierci?«

Jakób zmieszany spuścił w dół oczy. Ludwik zaś rzekł: »Owto dziwaczny Jakób, który się teraz swego szlachetnego czynu wstydzić zdaje, wyrządził tę psotę śmierci i wydarł mię jéj podstępem. Ze swoich towarzyszy, którzy jak wiész kapitanie, byli duszą i ciałem do niego przywiązani, wybrał trzech najpoufniejszych, przekupił ich wszystkiémi kosztownościami, które posiadał, i udając że się ze mną żegna, zawiadomił mię o wszystkiém. Dalsze wypadki są bardzo proste. Żołniérze, którzy mię rozstrzélać mieli, nabili broń na ślepo. Na ich wystrzał rzuciłem się w morze. Gęsta mgła powiększała złudzenie, które mię wyratowało. Wiadomo ci kapitanie jak dobrze pływam. Łodź Jakóba była już w pogotowiu; dostałem się wnet do niéj. Rzuciłem się na dno czółna. Dla dopełnienia złudy, skrwawił sobie Jakób rękę i zmazał swoją krwią białą chustę, które potém na mnie zarzucił. Joanna zstępując do naszéj łodzi mniemała że ściska mego trupa, tymczasem uścisnęła żywego, ocalonego małżonka. Po dlugiéj, przykréj, niebezpiecznéj podróży dopłynęliśmy wreszcie szczęśliwie w naszym statku do brzegu. Po upadku dyrektoryjatu mogliśmy się śmiało puścić do Francyi. Zostałem adwokatem, nabyłem wziętości i majątku i — oto moja historyja już skończona. Teraz pójdź kapitanie, musisz obaczyć moich synów. Ach, sąto prześliczne, żwawe chłopcy!«

»O, stare, wierne morze, znowu naprawiłoś grzéchy lądowe!« zawołałem. »A ty, Jakóbie! Jakóbie! Aniele, dyjamencie w chropowatéj skorupie! Pójdź, niech cię do mego przycisnę serca!«

»Panie kapitanie, to nie wypada!« mruknął Jakób z swoją zwyczajną opryskliwością i odwrócił się na bok aby sobie łzy z oczu otarł.

»Dziwaku!« śmiałem się i płakałem razem; »Wiém ja że jesteś nawet i wtedy grubianinem, gdy komu życie ocalisz a chcą ci za to dziękować. Lecz teraz ci powiadam, pójdź tu w moje objęcie, albo obaczysz, że stary żeglarz jak ja, zdoła jeszcze być większym niż ty grubianinem.«

Jakób przystąpił po niejakiém wahaniu. Rzucił mi się na piersi, skrył tam zroszone łzami oczy i mruczał: »Ha, jeżli koniecznie tak każesz kapitanie, więc cię uściskam! Ale to nie wypada, doprawdy nie wypada!« To mówiąc ściskał mię serdecznie.

Jaskinia łotrów w Londynie.

Listy z Londynu pod dniem 5. sierpnia donoszą: Rozebranie dwu domów w West-Street przy targowicy Smithfield stało się powodem szczególnych odkryć. Od kilku dni cisną się tamże tłumy ciekawéj publiczności, która jednak tylko za wstępnémi kartami do zwidzenia tych rozebranych domów przypuszczaną zostaje. W jednym z tychże, pod nrem. 3. mieszkał przed stu laty sławny łotr Jonatan Wild, ten sam, któregoFielding, autor powieści *»Tom Jones«* uwiecznił wydaniem romansu *»Jonathan Wild«*. Inny, lubo nie tyle sławny złoczyńca, imieniem Williams, został niedawno uwięzionym i przez przysięgłych w Middlessex osądzonym. Tento proces posłużył do wyjawienia sposobu życia mieszkańców tych domów, które oddawna jako jaskinie włóczęgów znane były. Nareszcie przedsięwzięła municypalność zakupić te podejrzane domy i oczyścić dzielnicę miasta. W chwili jednak gdy robotnicy zaczęli rozbiérać stare mury, uczyniono niespodziane odkrycie. Okazało się, iż tu wszystko w jak najchytrzejszy sposób do ukrywania złodziejów i przechowywania ich łupów urządzone było. Zaczém zostało zupełne zburzenie tych domów na rozkaz sądu tymczasowie wstrzymane. Teraz trudnią się malarze odrysowaniem téj labiryntowéj budowy a autorowie szukają tu przedmiotów do najokropniejszych ustępów swoich romansów. Nawet książę Cambridge, wuj królowéj, i lord Lonsdale, dyrektor poczt zwidzili to miejsce, które dla nich we wszystkich kurytarzach i kryjówkach lampami oświetlono. Domy pod nrem. 2. i 3. przytykają prawie do siebie, nie będąc wszakże na pozór w żadnym związku ze sobą. Dom pod nrem. 3. zamieszkany przez mydlarza, uchodził zdawiendawna za bardzo podejrzany i bywał kilkokrotnie przetrząsany przez policyję, chociaż te przetrząsania nic nie wykryły. Pod nrem. 3. mieszkały kobiéty rozpustnego życia, lecz nie widziano nigdy, aby tam wnoszono jakie paki, któreby kradzione rzeczy zawiérać mogły. Po długich dopiéro poszukiwaniach odkryto teraz za kontuarem mydlarza dwoje zwodzonych drzwi, prowadzących do dwóch dlugich kurytarzy. W je-

dnym z tych kurytarzów znajdowało się wiele jam do ukrywania kradzieży. Drugi kurytarz służył ściganym przez policyję złodziejom do uciekania. W tym celu nie wychodził ten kurytarz na główną ulicę, lecz wiódł do małych wschodków, przy których w górze znajdowało się okienko wychodzące na małą boczną uliczkę, będącą rodzajem kanału, który oba domy przedzielał. Leżąca tu zawsze na pogotowiu deska ułatwiała przejście do pokoju drugiego domu, zkąd można było umknąć tylnémi drzwiami. — Po zwidzeniu całego labiryntu krzyżujących się kurytarzyków zaszedł książę Cambridge ze swym orszakiem do lochu który go niemało zdziwił. Jestto sklepienie piwniczne, w którym widocznie był nie jeden mord popełniony. W jednym kącie znaleziono pod rumowiskiem szkielet z wielą kościami ludzkiemi; nie daleko ztamtąd leżał złamany nóż rzeźnicki, który oczywiście służył do zabijania; na rękojęści stał napis srebrnémi czcionkami »Benjamin Turtelt, 19. lipca 1787.« — Mieszkańcy téj jaskini spuszczali do tego lochu znalezionych na ulicy pijanych ludzi, których obdarłszy z kosztowności, pieniędzy i sukien, wyrzucali nazad na ulicę, albo dusili nieszczęśliwych smolną maską i przedawali ich trupów tak zwanym rezurekcyjonistom, to jest ludziom trudniącym się odgrzebywaniem trupów w celu przedawania ich anatomom. Zniknienie kilku mieszkańców tej części miasta, których nigdy już więcéj nie odszukano, daje powód do ostatniego wniosku. — Książę Cambridge kazał się także zaprowadzić do celi, gdzie Williams tak długo przed poszukiwaniem władz się ukrywał. Jest to ciemna, wilgotna, w ziemi wydrążona kryjówka, w któréj ścigany złoczyńca leżał bez światła i powietrza, opatrywany w żywność przez swych spólników, nie mogąc jednej ruszyć się ztamtąd na chwilę, gdyż wszystkie wnijścia obu domów były dniem i nocą przez policyję strzeżone. Nareszcie uprzykrzył sobie Williams pobyt w tym lochu do tego stopnia, iż lubo wiedział, że deportacyja go czeka, sam się w ręce szeryfów wydał. — Podobnież i w domu pod nrem. 2. spodziewają się ważnego odkrycia; ale mieszkańcy tego domu, których kontraktem oznaczony termin jeszcze nie ubiegł, sprzeciwiają się poszukiwaniom i ciągną teraz wielkie korzyści z rozbudzonéj ciekawości publicznéj, wymagając niesłychaną opłatę za pozwolenie zwidzenia swego domu i zyskując na tém daleko więcéj niż cały ich czynsz wynosi. Zaledwie można pojąć, jak w podobnie ludném mieście jak Londyn, któreby przecież najlepszą w świecie policyję mieć powinno, mogła się podobna jaskinia łotrów tak długo ukryć, gdy zwłaszcza sławny i bardzo ulubiony pisarz jeszcze przed stą laty uwagę na nią zwrócił.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 35. i obejmuje: 1) Jak zamuloną paszę na karm dla bydła zrobić przydatną? 2) O bronie czyli haku rzędziastym. 3) Najłatwiejszy sposób oswojenia dzikich koni. 3) Wiadomości handlowe. 4) Lekarstwo na osadzenie i rany. 5) Dłuższa trwałość drzewa budowlanego pana Weebera. 6) Wełna po strzyży nie da się długo bez straty przechowywać. 7) Sproszkowane węgle drzewne robią mięso lepsze.

Wielorakie używanie kauczuku. Nic nie dowodzi lepiej zwycięztwa sztuki i przemysłowości nad zaniedbanémi dotychczas materyjałami, jak przeróżny użytek, który teraz z kauczuku czyli *gummi elasticum* powszechnie robią. Któżby był myślał, że ten artykuł który zrazu tylko do wycierania linij ołówkowych służył, będzie późniéj używany w rozmaitych gałęziach przemysłu a wreszcie nawet do brukowania stajen końskich, podsieni, chodników i t. p. Tem mniéj byłby się kto spodziéwał, aby kauczukiem wybijano wojenne okręty angielskie a mianowicie statki do ratowania. Tego teraz tak ważnego artykułu handlowego można za najmierniejszą cenę i w dowolnéj ilości dostać. Osobliwie do moszczenia stajen końskich jest kauczuk najlepszym materyjałem, ponieważ konie przy wstawaniu i leganiu nie tak sobie łatwo kolana kaléczyć mogą jak to się przy kamiennym pomoście dzieje, i ponieważ stajnia daleko czyściéj utrzymaną być może. Oprócz tego nie potrzebuje kauczukiem wyłożona stajnia tyle i tak często zmienianego podścieliska jak zazwyczaj. Wszystkie stajnie w Dock-yard w Woolwich są od przeszło dwu lat kauczukiem wyłożone i słyną za najczyściejsze w całéj Anglii. Podobnież i w marynarce służy kauczuk do wielorakiego użytku. W Woolwich budują teraz statek z kauczuku, mający 34 stóp długości a 12 szérokości. Wszyscy żeglarze i inżynijerowie, którzy ten statek widzieli, sądzą, że nie może wcale zatonąć, a rzucony o skałę, odbije się bez najmniejszego uszkodzenia. Przysionek zamku Windsorskiego jest już także kauczukiem wyłożony.

Le Jayotyp métrique jest narzędziem dla kapeluszników, za pomocą którego mogą oni nadać kapeluszom dokładną formę głowy. Pewien paryzki dziennik ogłasza ten wynalazek następującemi słowy: »Dotąd fabrykowali kapelusznicy kapelusze podług czteru lub pięciu ogólnych form, tak jak niegdyś uniformy dla żołniérzy. Lecz jak wiadomo, nie ma dwu głów na świecie któreby ściśle tej samej formy były; każda ma swój szczególny kształt, swoje właściwe wypukłości i dołki. Kupując dotychczas kapelusz, trza było przynajmniéj kilka dni znosić nadzwyczaj przykre a nawet szkodliwe zdrowiu ciśnięcie na czole, na skroniach i tylnej części głowy; a często przylegl kapelusz dopiéro wtedy do głowy, gdy już przestał być nowym. Wynalezione przez pana Jay narzędzie jest żelaznym wieńcem, którego objętość podług upodobania ścieśnioną lub rozszérzoną być może. W kilku więc minutach można wziąć miarę każdéj głowy i nadać ją nowosporządzanemu kapeluszowi. Dla wojska byłby ten wynalazek nadzwyczaj użytecznym, a ministeryjum wojny wydało już rozkaz uczynienia w kilku pułkach probę z czakami, które podług metody Jay'a do miary głowy każdego pojedyńczego żołnierza sporządzone zostały.

Król Karol Jan Bernadotte miał od psów wstręt nieprzezwyciężony, a to od tego czasu, jak jeden z jego przyjaciół na ukąszenie od wściekłego psa w okropnych boleściach życie zakończył, i jak drugim razem widział na pobojowisku zgłodniałe psy ciało jego towarzysza broni wściekle rozdziérające. Ten wstręt króla był powszechnie na dworze w Sztokholmie wiadomy. Następca tronu jednakże miał psa gończego, którego bardzo lubiał a który tak był ułożony, iż natychmiast pędem uciekał, skoro tylko króla z daleka ujrzał. Gdy król czasem następcę odwidził a pies tylko te słowa zasłyszał: »Król idzie!« natenczas, jeżeli nie miał gdzie uciec, krył się pod jakiekolwiek sprzęty i leżał tam poty cicho, aż póki król nie wyszedł. — Wszyscy którzy znali Bernadottę, zapewniają, iż oczy jego miały jakieś dziwnie przenikliwe spojrzenie, które na skróś przenikało każdego, z kim tylko rozmawiał. Samże król znał dobrze władzę swojego

wzroku, a kto go znieść nie umiał, co istotnie nie łatwo było, tracił natychmiast wszelki szacunek króla. Pewien oficer odbywszy podróż z depeszami z nadzwyczajną szybkością, opowiada co następuje: »Gdym oddawał królowi papiery, skrapiał mię nieustannie, jakby z nieuwagi, wodą kolonską (to czynił często dla odwrócenia zapachu tytuniowego, którego znieść niemógł). i zapytał mię: w jakim czasie odbyłem moje podróż. Usłyszawszy dokładne wymienienie liczby dni i godzin, spojrzał na mnie wzrokiem świdrującym i rzekł piorunowym prawdziwie głosem: »Pamiętaj wpan że mówisz ze mną, a ja żartów nie lubię.« Dopiero gdy się datą depeszów przekonał, iż prawdę powiedziałem, stał się znowu uprzejmym jak zwyczajnie.

Rozporządzenie względem ortografii. Hiszpańskie ministeryjum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, które zamierza wprowadzić znowu jednostajny system pisania w ortografiję hiszpańską. Uskarżano się od niejakiego czasu, że każdy nauczyciel i profesor ułożył sobie pisownię podług własnego upodobania, co najzgubniejszy wpływ na cały język wywiera i powszechne zamieszanie sprowadzić może. Rząd przeto postanowił, aby — nie uwłaczając prawu autorów pisania w swoich dziełach jak za dobre uznają — wszyscy jednakże nauczyciele szkół elementarnych uczyli pisowni zgodnie z przyjętym przez hiszpańską akademiję umiejętności ortografijnym systemem, a to pod utratą swego dyplomu; jakoteż ma być przy wszystkich egzaminach surowo na ortografiję uważano.

Złoty wiek lokajów. Chociaż się i dziś jeszcze zdarza że słudzy panami rządzą, nie dzieje się to już przecie w takim stopniu jak niegdyś, i nie widać już wcale aby słudzy możniejszych panów, przeto, iż wszystkie ich słabości znają, mieli u innych poważanie. Za czasów Ludwika XIV. obchodziła się dumna arystokracyja francuzka z jego kamerdynerami jak z swymi przyjaciołmi. St. Simon opowiada w swoich pamiętnikach, iż gdy Ludwik XIV. raz swojego kamerdynera z listem do księcia Montbazou posłał, ten udając się właśnie do stołu, zaprosił go z sobą, posadził na pierwszém miejscu, a po obiedzie aż do królewskiego pałacu odprowadził. Sami nawet dworscy panowie nie wstydzili się okazywać dla kamerdynera kardynała Fleury, ministra Ludwika XV. względne uszanowanie. Ba co więcej, Barjac, kamerdyner kardynała Fleury, żądał wyraźnie, aby się książęta i inni wielcy panowie obchodzili z nim jak z człowiekiem, od którego ich szczęście zawisło. A Fleury nie tylko że nato pozwalał, ale owszem, jeźli czasem zabrakło miejsca przy jego stole, odsyłał niektórych dworskich panów do stołu swego kamerdynera. Jednego razu udał się pewien par Francyi do Barjac'a z prośbą o wstawienie się za nim u kardynała, i nie wahał się wcale usiąść do jego stołu. A jak się ci ludzie łatwo zbogacać umieli! Tak na przykład sam fryzyjer pani Pompadour zebrał sobie majątek przynoszący mu 20,000 liwrów rocznego dochodu.

Don Gusman. W jednym z kabaretów ulicy Saint-Honoré w Paryżu można widzieć obecnie starca, opalonego od słońca, z siwémi włosami, ale jeszcze żwawego i ochoczo w pikietę albo w warcaby grającego. Starzec ten nazywa się Don Gusman i żyje z małéj pensyi, którą mu cesarz Napoleon wyznaczył. Powód téj łaski był następujący: Nie wszystkim wiadomo że Napoleon, zdobywszy Egipt miał zamiar zawojowania Persyi. Gusman zaś jest rodowitym Persem, który wówczas bawił w Egipcie i otrzymał od Napoleona zlecenie towarzyszyć przeznaczonemu do téj wyprawy wojsku jako przewodnik i tłumacz, co też i przyjął. To było przyczyną spaniałomyślności Napoleona. — Powiadają że Gusman był nie dawno zaproszony do pana Thiersa, aby mu w tym względzie dał niektóre objaśnienia.

Ostatnia kula Nelsona. Zabójcza kula, która admirałowi Nelsonowi ranę zadała, a którą zmarły sir William Beatty, wówczas wyższy lekarz na admiralskim okręcie *»Wiktoryja«*, wyjąwszy z rany przechował, została teraz przez kapitana Beatty, starszego brata sir Williama, jako pamiętna relikwija narodowa ofiarowana w darze królowéj Wiktoryi, która ją w zamku Windsor złożyć kazała. Kula ta wraz z cząstkami munduru i epoletów, które przez nią w ciało Nelsona wtłoczone zostały, jest zamknięta w puszce z kryształu, która oprawiona podwójną skówką w formie kotwicy, daje się jak kieszonkowy zégarek otwiérać.

Drzewo Upas. Wschodnio-indyjska kompanija darowała londyńskiemu towarzystwu rolnictwa jedno z tych osławionych drzew, które w ogrodzie Chiswick posadzono. Drzewo to jest zupełnie zdrowe, i mimo wszelkich bajek, jakie Hollendrzy o niém rozsiali, można się bez niebezpieczeństwa życia do niego zbliżyć; chociaż jest w istocie tak jadowite, że go nikt bez przezorności dotykać się nie może.

Jednorożec. Podług doniesień francuzkiego ajenta konzularnego pana Fresnel w Dżiddach, żyje to tak wielce ogadane i zaprzeczane zwierzę zupełnie w ten sam sposób w głębi Afryki, jak je biblija i Plinijusz opisują; powinno być jednak rozróżniane od nosorożca. Jednorożec ma wielkie podobieństwo do wołu, pasie się trawą i napada wściekle na ludzi. W Borgu i Genga polują na to zwierzę konno z lancami, które wbijają mu w tylną albo spodnią część ciała, gdyż reszta skóry jest tak twarda że jéj przebić nie można. Murzyni zowią to zwierzę — rogowiec *»abukarn«*. Róg zaś jego tkwi mu na czole i ma blisko łokiec długości.

Wypowiedzenie wojny. Dziennik *»Journal des Débats«* doniósł niedawno, iż Prusy wypowiedziały wojnę Francyi. Gdy jednakże to wypowiedzenie wojny tylko w paryzkich egzemplarzach tego dziennika się znajdowało, więc uczyniono zapytanie w tym względzie i otrzymano następujące wyjaśnienie zagadki: Dziennik *»Journal des Débats«* z powodu ustawy o wychowaniu, rozpoczął polemikę z pismem czasowém pana E. Girardin *»la Presse«*, i zaczął swój piérwszy artykuł od słów: *»La Presse nous a déclaré la guerre;«* — zecer położył przez omyłkę *u* zamiast *e*, a nazajutrz czytali wszyscy spekulanci giełdowi, politycy dziennikarscy, słowem kto się tylko gazetami zajmuje, z największém przerażeniem tę wiadomość: *»La Prusse nous a déclaré la guerre!«* (Prusy wydały nam wojnę.)

Ważna przyczyna. W jednym z paryzkich salonów była niedawno mowa o literacie, który otrzymał krzyż legii honorowéj. Zachodzono w głowę co mogło być powodem takiego odznaczenia. Alexander Dumas, który był temu obecny, rzekł: »Domysły panów są zbyt z dalekich przyczyn prowadzone. Pan N. otrzymał krzyż legii honorowéj z téj jedynéj przyczyny — że go jeszcze dotychczas nie miał.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.